

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9

róg Rynku głównego

pełna bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek
strojnych i angielskich, sukien strusich i rękawiczek.

Własna pracownia.

WŁASNA PRACOWNIA.

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacja z angielskiego.

4)

On, jakby zatopiony w rozmyślaniach, mruzcąc zaczął znowu.

— Ezechiel Trenoweth, wysoki, dobrze zbudowany, wzrostu sześć stóp i dwa cale. Dlaczego, u diabła, coś mu się stać miało?

— Ale pan zdajesz się go znać i znasz także statek, na którym do Anglii odpłynął. Powiedz mi więc... och! błagam pana najmocniej... czy odbywał się z nim razem podróż na jednym statku? Jeśli zaś tak, to co się stało z tym statkiem?

— Ja — mówił mój towarzysz z oczami utkwionymi wciąż w widnokrąg — wsiadłem 12 lipca na pokład okrętu, noszącego nazwę „Marya Joanna“, płynącego do Liverpoolu. Stąd więc wynika, że skoro Ezechiel Trenoweth siadł na pokład „Fortuny“, nie łatwo przyszłoby nam znaleźć się razem na jednym statku, co przecie jest dosyć logiczne — i mówiąc to spojrzał na mnie i po raz pierwszy uśmiechnął się jakimś dziwnym, przymuszonym uśmiechem.

Poczem szybko wlepił znowu wzrok w siniejące w oddali półkole morskiego widnokręgu.

Bądź co bądź, po ostatnich słowach, które wykrztusił, kamień spadł mi z piersi. Radość, jakiej doznałem dowiedziawszy się, że ojczulek nie należał do liczby pasażerów „Maryi Joanny“, nie pozwoliła mi mówić czas jakiś, lecz siedząc spokojnie, namyślałem się o co jeszcze mam go zapytać.

— Wsiadłszy na pokład „Maryi Joanny“, płynącej do Liverpoolu — powtórzył, marszcząc czoło i podciągając spodnie — odbywałem podróż z... ba! ale to niema znaczenia. A oto tu, ten chłopiec jest synem Ezechiela Trenoweth... Ja zaś go znałem, dobrze znałem! — Głos jego brzmiał głucho. Coś mu chrząkało w gardle, ciągnął jednak dalej: — Oho! dziwny świat! Pomyśleć sobie, że umarł!

To mówiąc, spoglądał na czapkę, którą zdjął z głowy.

— Jaktó! Mój ojciec umarł?!

— Nie, mój chłopcze. Ten drugi... ten, do którego należała ta czapka... Był to szatan prawdziwy! och, tak!... Pomimo to, nie mogę dotąd wyobrazić sobie, że nie żyje. Można było o nim powiedzieć, że woda, w której miał się utopić, nie wytrysła jeszcze ze źródła!... Mawiał zawsze, żartując niby, że skonać musi na galerach. Ale tym razem już go nie stało, a ja posiadam jego czapkę. Niech go porwą dyabli!... Dziwnem mi się tylko wydaje, że go przeżyłem, a jednak, tak jest w rzeczy samej, dowodem zaś tego ta oto czapka... Czemu, u czarta, tak się przyglądasz chłopcze?

Podczas, gdy rozmawiał sam z sobą, odwróciłem się na chwilę, by spojrzeć na zatokę Polkimbra. Nagle oczy moje zatrzymały się na czemś, co wywołało przyspieszone bicie mego serca, zmuszając poniekąd do zastanowienia się, żali wszystkie wypadki, które przesunęły się przed wzrokiem moim od rana, nie były snem złudnym i okropnym, przedemną bowiem, w odległości może pięćdziesięciu metrów, dostrzegłem innego człowieka, zbliżającego się do skały, ubranego tak samo jak mój towarzysz i jak on przed godziną przyglądającego się bacznie rozbijającym się o brzeg falom.

— Co tam widzisz, mały?... Mów! Czy nie możesz mówić?

— Widzę człowieka.

— Człowieka?! Gdzie?

Wysunął się nieco, żeby spojrzeć, lecz cofnął

się natychmiast i wyciągnawszy się wzdłuż całego ciała, przyłgał niem niemal do skały.

— Połóż się! — mruknął ostro i groźnie. — Połóż się i patrz!

— Jakby żelaznymi kleszczami ścisnął mi ramię. Przypadłem do skały i patrzyłem.

— Jest to człowiek jakiś — szeptałem. — Co najmniej pięćdziesiąt metrów oddziela go od nas, lecz idzie w tę stronę. Ma na sobie czerwoną koszulę i tak, jak pan niedawno, patrzy wciąż na morze. Zdaje mi się, że nie mógł nas widzieć.

— Nie poruszaj się, na miłość Boską!... Czy ma czarne włosy? czy wysoki?

Towarzysz mój był widocznie zaniepokojony bardzo i zgębiony nadzwyczajnym lękiem.

— O mało nie krzyknąłem z bólu, tak mocno ścisnął mi ramię.

— Tak — rzekłem zdławionym głosem. — Wydaje się wysoki i ma włosy czarne...

— A w uszach, czy ma kolczyki?

— Nie widzę... dojrzeć nie mogę. Idzie teraz pochylony? U pasa dynda mu szpada, czy coś podobnego...

— Niech nas Bóg ma w swojej opiece! To on! Bodajby go dyabli porwali!... tak, bodajby go porwali dyabli!... Jeśli nas zobaczy, zginiemy!

— Wyciągnęliśmy się leżąc na skałę. Twarz mego towarzysza zsiniała, a wargi mu drgały, chociaż nic nie mówił. Nie spotkałem się nigdy w życiu moim z równie wstrętnym i pełnym rozpacz przestachem. Czekaliśmy dość długo, nie poruszając się wcale. Po niejakiś czasie jednakże ośmieliłem się wyjrzeć za skałę.

Przybył znajdował się obecnie tuż pod nami, lecz zwrócony do nas plecami. Uporczywie wpatrywał się w bijące o brzeg fale. U boku jego, przy pasie, wisiała pusta pochwa. Nie mogłem przyjrzeć się jego twarzy, lecz łatwo spostrzegłem grube obrączki, wpięte w uszy i jaskrawie błyszczące w słońcu.

Cofnąłem się ostrożnie w tył, bo towarzysz mój pociągnął mnie za połę paltota.

— Słuchaj! — rzekł szeptem, a ostry głos jego brzmiał tak głucho, że zaledwie dosłyszeć zdołałem, co mówi do mnie. — Słuchaj! Jeśli nas przychwyci, czeka nas śmierć... Mnie zamorduje niezawodnie, lecz być może, że ciebie życia nie pozbawi, chociaż to jest czart krwiożerczy, mordujący z rozkoszą. Bóg to raczy wiedzieć, czy żywym wypuści cię z łap swoich... w każdym razie jednak sądzę, że będzie bezpiecznie, gdy zatrzymasz przy sobie to, co ci daję. Masz!... Weź żwawo i schowaj do paltota tak, żeby nie zobaczył. Spiesz się, na miłość Boską!

Wydobył coś z pod koszuli i gwałtem wsunął mi do ręki. Nie widziałem co to było, tak gwałtownie przynaglał, bym rzecz podaną schował w boczny kieszeń paltota. Zauważyłem przecie, że to coś ciężkiego, twardego i podobnego do polerowanej miedzi.

— Czuje śmierć... powiadam ci, że czuję śmierć bliską... lecz ciebie oszczędzić może. Jeśli mnie zamorduje, przysięgnij, że mu tego nie oddasz. No! powtarzaj za mną: „Niech oślepnę, niech zginę marnie, jeśli doręczony mi przedmiot oddam mordercy mego towarzysza“.

Ścisnął mi ramię znowu, podnosząc je nieco.

Wzruszony, przerażony i drżący powtarzałem za nim wyrazy przysięgi.

— A tu, patrz, masz list. Weź go... przeczytasz później!... Niech go porwą dyabli, jeśli mnie położy trupem... Ukryj starannie to, co ci dałem... no! mówię: ukryj starannie!... Zaklinam ci się na duszę, że to mój testament i moja wola ostatnia, którą spełnić jest twoim świętym obowiązkiem. Musisz podzielić się z małą Jenny... powiadam ci, musisz! Z listu dowiesz się, gdzie mieszka i czym jest dla mnie. Jemu zaś nie oddasz za nic w świecie! Przysięgnij raz jeszcze... no! przysięgnij!

Przysięgałem znowu.

— Tylko pomyśl sobie, co ci się spotkało, gdybyś mu oddał. Oto, co noc duch mój by cię nawiedzał i udęczał straszliwie. Nie miałbyś chwili spokojnej. Nadto, przekląłbym cię umierając, takie zaś przedzgonne przekleństwo sprowadza najstraszliwsze nieszczęścia na głowę przekłanego... Spójrz no jeszcze! Może nie idzie ku nam... może zawrócił ku drugiej, dalszej zatoce. Gdyby tak było, tobyśmy mu się wymknęli... i niechby potem szukał wiatru w polu.

Spojrzałem.

Lecz cofnąłem się w tył natychmiast i jakby piorunem rażony wznak upadłem, bo tuż podemną dostrzegłem głowę o czarnych włosach, z błyszczącymi kolczykami w uszach. Człowiek, co ją niósł na karku, kroczył szybko po ścieżce, wiodącej do nas.

ROZDZIAŁ IV.

W jaki sposób na Skale umarłego odśpiewano marynarską pieśń starodawną i wydobyto nóż morderczy.

Niepodobieństwem było uniknąć z nim spotkania.

Powiedziałem, że wejście i zejście ze Skały umarłego było możliwe, lecz tylko północną stroną jej zbocza, od którego byliśmy odcięci zupełnie. Za nami wznosiła się gładka ściana pionowa; przed sobą mieliśmy przepaść. Musieliśmy zatem siedzieć cicho i czekać na przybycie.

Obawa ogromna, bez granic, pozbawiła widocznie mego kompana zmysłów, a poniekąd nawet przytomności, bo siedział — podobny nie do żywej istoty, lecz raczej do kamiennego posągu rozpacz — patrząc szklanym, wytężonym i bezmyślnym wzrokiem w miejsce, na którym według wszelkiego prawdopodobieństwa, ukazać się miał jego nieprzyjaciół. Co do mnie, mocno zalekniony również — chociaż nie wiedziałem czego i kogo mam się obawiać — przycisnąłem się plecami do skalnej ściany i nie oddychając prawie, wsłuchiwałem się w odgłos coraz szybciej zbliżających się kroków.

Nagle — o ile się domyślałem — już zaledwie o kilka metrów poniżej nas, idący się zatrzymał i rozległ się donośnie cudny, dźwięczny, męski głos, śpiewający starą pieśń marynarzy angielskich:

Na łakach kwietnych, zielonych, i wśród zieleni drzew,
Chłopey! na cześć kompana zawiedźmy żałobny śpiew,
Na cześć jego rąk i oczu, na cześć zbiegających warg!
Sól morską wyżałował mu oczy, ręce zasypał piach,
Wargi, kochance drogie, złośliwy ogryzł krab,
Duszę zaś wyrwał mu z łona nie męski, podły strach.

Zdawało się, że słowa pieśni, twarde i gorzkie, wznoszą się w powietrze, a ich tajemnicza okropność, połączona z niezwykle piękną melodią, a przede wszystkim ze słodką prześliczną głosem, podbiła mnie swoim urokiem. Pod wpływem nagłego zachwytu, czułem się oczarowany. Spojrzałem na mego towarzysza. Siedział na tem samym miejscu, milczący i nieruchomy, usta tylko jego poruszały się dziwnym jakimś wysileniem, jakby chciał a nie mógł powtarzać śpiewanych wyrazów.

W tej chwili rozległ się na nowo chrząst zbliżających się kroków, a dźwięczny i miły głos zaczął nucić tym razem widocznie improwizowaną piosenkę, podłożoną pod znaną melodię:

Do brzegu okręt płynie, lecz płynie bez załogi,
Bo w ciągu morskiej drogi
Za zdrady, zaległy długi, z wyroku piekielnych kart
Życia pozbawił ich czart.

Spostrzegł nas. Stał, jak wryty, na zakręcie ścieżki i przyglądał się nam uważnie. Pojąłem teraz dopiero, cały ogrom przerażenia i obawy mego towarzysza.

Przybył miał na sobie koszulę tegoż samego koloru co mój towarzysz, i spodnie z tejże samej